Nr 16. Zakopane, dnia 25 września 1919. Rok II.

ECHO TATRZAŃSKIE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM TATR i PODHALA

REDAKTOR: Dr Józef Diehl. **NAKŁADEM:** Księgarni Podhalańskiej w Zakopanem.

Przedpłata: rocznie 30 kor., półrocznie 15 kor. — **Numer** osobny: 1 kor. 50 hal. — **Ogłoszenia:** Cena według umowy z Administracją.

OD WYDAWNICTWA.

Adres Redakcji i Administracji: Księgarnia Podhalańska w Zakopanem, Krupówki (obok poczty). — **Redakcja** przyjmuje tylko listy opłacone. — Artykułów, nie podpisanych imieniem i nazwiskiem, Redakcja nie umieszcza, nie zwraca też rękopisów.— **Redaktor** przyjmuje w sprawach czasopisma po poprzedniem porozumieniu się pisemnem w Zakopanem („Oleńka", Krupówki.) lub w Nowym Targu (Hotel Herza, Rynek).

Plebiscyt na kresach tatrzańskich.

Najwyższa Rada koalicji przeciwniemieckiej postanowiła, że o przynależności państwowej Spisza i Orawy rozstrzygnie także plebiscyt.

Nowotarska „*Gazeta Podhalańska*" stwierdza słusznie, że jest to „. . . niewątpliwie wielkiem zwycięstwem polskiej dyplomacji i polskiego narodu. Silne poparcie, jakiego użyczyły delegacji polskiej na kongresie pokojowym rozliczne wiece, delegacja góralska do Paryża i stanowcza postawa społeczeństwa, gotowego do krwawej rozprawy z Czechami, — przeważyła szalę na naszą korzyść."



UWAGA: Pionowe kreski na mapce oznaczają bezsporny obszar polski, krzyżyki — granice starostwa spiskiego, które należało do Rzeczypospolitej aż do pierwszego rozbioru. Starostwo to składało się z 4 oddzielnych terytorjów, z których jedno tylko przylegało do państwa polskiego, trzy pozostałe tworzyły wyspy, enklawy, na Spiszu węgierskim. Zauważyć należy, że znaczna część obszaru językowego polskiego nie wchodziła w skład starostwa spiskiego, przedewszystkiem t. zw. Zamagórze, które pozostało polskiem, choć od tylu wieków było w bezpośredniem władaniu Węgrów.

Zaczynając ostatnie stadjum sporu o tatrzańskie ziemie graniczne, jedno tylko mamy życzenie: aby Rząd nasz bezzwłocznie po ustaleniu obszaru, czasu i sposobu głosowania ludowego, objął kierownictwo wszelkiej akcji plebiscytowej przez osobny organ, uposażony w odpowiedni zakres działania, szerokie pełnomocnictwa i środki dostateczne.

Przodownicy pracy społecznej w tej potrzebie, zorganizowani w Komitety Obrony Kresów Południowych, poddadzą się z zapałem kierownictwu państwowemu, rozumiejąc całą wagę takiego współdziałania obywatelskiego w dniach największej troski i ostatecznej walki o los całego — z tej i tamtej strony Tatr — Podhala, o jego przyszłość i wartość dla Polski,

Z powodu wyborów do Rady gminnej w Zakopanem.

Zanim przyjdziemy do zadań, jakie ma spełnić przyszły gospodarz Zakopanego, — musimy rzucić okiem wstecz i wspomnieć, co obecnie rządząca Rada zrobiła.

Czas jej gospodarstwa, to czas tych lat ciężkich i chmurnych, jakiemi były lata wojenne. Los postawił na jej czele naczelnika w osobie p. Wincentego Regieca. Czy los był dla Zakopanego szczęśliwy? Czy naczelnik był tym sternikiem, doświadczonym i mądrym, który umiał ponad odmęty społeczność naszą przeprowadzać?

W pewnym stopniu, tak — w pewnym, nie. Jako ten, który okręt wśród topieli prowadził, dbając o wyżywienie masy ludności, pewno, że tak; — ogromnie ruchliwy, cierpliwy i natarczywy, kołatał do różnych drzwi, znosił niejedną przykrość, odmowę, — ale nie zrażał się niczem i to, co było wówczas alfą i omegą zagadnienia — staranie się o chleb, spełnił. Gdy najgorsze czasy przeszły, zaczął dalej kołatać o zyskanie środków, dążących do rozwoju uzdrowiska, szukał dróg do uzyskania pieniędzy na inwestycje najważniejsze. I przyznać trzeba, że uzyskał wiele,

Niestety, nie wiele zrobił. Pewno, że były to ciągle czasy niepewności — więcej obietnic w postaci niebieskich migdałów, niż rzeczy relnych — ale zawsze było coś. Tylko przy wprowadzeniu w czyn — brakło maszynie paliwa. Brakło dzielnej, pobudzającej do czynu Rady. Inteligencja, czyli panowie schodzili się na posiedzenia, — wypowiadali piękne zwroty i uchwalali razem z bracią serdakową, co im Zwierzchność gminna do uchwalenia podała — poczem w bratniej zgodzie rozchodzili się wszyscy w domowe zacisza — syci chwały dobrych ojców gminy.

I oto zaczęto wiele prac ważnych, ale nie ukończono żadnych, bo naczelnik to był pociągowy koń — nie lew, któryby bez względu na przeszkody łamał je i przesadzał.

I nad grobem, kończącej swój żywot Rady można powiedzieć słowami ks. Baki: „Na gębie się zaczęło i na gębie skończyło“.

Czy obecnie zacznie się ta sama historja od początku, t. j. czy naród zakopiański wybierze naszych ojców nie 3-a ale 4-a kołami, czy też uzdrowisko otrzyma całkiem inne rządy, jak to jest w projekcie, trudno obecnie wiedzieć.

Tak, czy owak — może wejdzie nowa krew w stare żyły kierownictwa tej miejscowości — krew nie miasteczka, ani wsi, ale uzdrowiska. Bo pamiętać przecież raz muszą ci, którzy mają być kierownikami, że wszystkie ich cele to podniesienie uzdrowiska, — że wszystko inne to rzecz drobna, błaha, a to cel zasadniczy i jedyny.

Jak obecnie, to cel ten nie świecił dość jasno ani Zwierzchności gminnej, ani Radzie. A przecież, gdyby południowe stoki Tatr przyłączono do polskiej macierzy — co prędzej czy później musi nastąpić — to Zakopane ze swą ludnością chciwą i bezwzględną, — ze swemi moczarami, gnojowiskami, brudem i niechlujswem, ze swymi „pensjonatami“, przypominającymi tingle 3-ciorzędne (są szanowne wyjątki, ale tylko wyjątki), ze swym brakiem nie komfortu, ale choćby pozoru jego — ze swą blagą, która weszła w przysłowie — czemże się stać musi?

Tem, na co sobie zarobiło przez tych kilka dziesiątków lat — wsią podtatrzańską w cudnem szczytów górskich otoczeniu, ale taką samą wsią, jaką było przed 50 laty, tylko popsutą.

Jest nadzieja, że przecież tam w górze, w tych ministerjach, które mają podwójną lub potrójną ilość szefów sekcji, jak dawne państwo austrjackie, znajdzie się jedna głowa, która wymyśli i przeprowadzi, by uzdrowiska miały swój właściwy im ustrój gospodarczy, że na czele administracji uzdrowiska postawią prawnika, dadzą lekarzy, którzy nie z praktyki będą żyć musieli, jak obecnie, ale będą mieli i mieszkanie i konie i pensje odpowiednie i służbę pomocniczą i tabor, czyszczący ulice i deptaki i t. d.

Do pomocy tym dwom zasadniczym czynnikom ustanowią Radę uzdrowiska jako ciało doradcze.

Wtedy będzie można ruszyć naprzód.

Jakąż drogą ten ruch się odbędzie?

Najpierw musi być prawo doraźnej egzekutywy.

Dziś, gdy lekarz orzeknie, że gnój przed domem, że niema wychodków przyzwoitych, że winny ma być ukarany, musi się spisać akt, poczem winny wnosi rekurs, mijają miesiące sprawa tkwi gdzieś, niewiadomo gdzie — czasem nie wychodzi z pierwszego biura, w którem się toczyła — i zapomina się o niej. Gnój rośnie, wychodki, jak były, tak zostają — i wszystko wraca do dawnego stanu.

I tak wszędzie i ze wszystkiem.

Niech ale tak się dzieje jak powinno, niech lekarz doraźnie ukarze grzywną, niech doraźnie wyda kwit na grzywnę, niech policja doraźnie ją ściągnie, wtedy nie będzie ukarany śmiał się w oczy karzącemu, a nie chcąc płacić, narazić się na nową karę i drugi raz — uprzątnie co rychlej nieczystości.

Sprawa tej doraźnej egzekutywy, to równocześnie sprawa usunięcia tej bolączki, jaką jest zawisłość od Starostwa w Nowym Targu. Nieszczęsna ta zależność od c. k. władzy austrjackiej, powinna była zniknąć już wówczas, gdy macocha czarno-żółta wydała ostatnie tchnienie. Gdyby nie trwożliwy duch Zwierzchności gminnej, pewnieby się to stało z pożytkiem dla uzdrowiska, z radością i uczuciem ulgi dla jego mieszkańców. Rada gminna uczyniła wówczas krok ważny i wielki, uchwaliwszy, że w sprawach sanitarnych uważa się za jednostkę zupełnie niezależną. Za Radą gminną poszła miejscowa Organizacja Narodowa — za nią wiec powszechny i Związku górali. Niestety, naczelnik gminy nie wyciągnął w chwili korzystnej tego atuta, — nie wyzyskał nastroju społecznego jak tylko do przeprowadzenia zlania się klimatyki z gminą i utworzenia jednego ciała w postaci Wydziału uzdrowiska. A przecież ponad wszystko inne, jest ważnem uwolnienie się z tych więzów dawnego zapleśniałego systemu centralistycznego.

Z każdą drobnostką trzeba odwoływać się do urzędu w Nowym Targu, gdzie urzędnicy dumni z władzy wydają swe orzeczenie. I jeżdżą tam ludziska co dnia, wstają o świcie, wracają nocą, tłuką się cały dzień po miasteczku, nie godnem rozwiązać rzemyczka Zakopanemu, — wydają pieniądze i tracą czas — poco?

Dobre to było w Austrji, gdzie pod cetnarową władzą k. k. nie było ratunku, ale dziś! Ciężko to p. Regiec chybił, przeoczywszy tę chwilę — teraz trzeba odrabiać to mozolnie za jego niedołęstwo. Bo komisarz klimatyczny lub gmina nie mogą wydać same choćby najważniejszego, najżywotniejszego zarządzenia bez porozumienia się ze Starostwem. A ludność przyzwyczajona

do tej władzy, nie szanuje i nie ogląda się na zarządzenia miejscowe. Lekarz powiatowy nadjeżdża i wydaje zarządzenia i wyroki jak augur, choć na miejscu jest lekarz, znający stokroć lepiej stosunki, potrzeby i życzenia ludzkie. A ludzie widząc zanieczyszczenie Nowego Targu, który mimo wszystko jest wobec Zakopanego jak stajnia wobec świetlicy, mówią: „Czemu ten pan nie patrzy — choćby jak wyglądają wychodki w Starostwie lub w Sądzie?"

Następnie trzeba postarać się nareszcie o plan regulacyjny miejscowości.

Teraz Zakopane rządzi się tą samą ustawą budowlaną, co Poronin, Murzasichle i wszystkie gminy wiejskie. Po zmianie ustawy i po planie regulacyjnym nie pozwoli Komisja gminna na stawianie szopy przy głównej ulicy — nie pomoże rekurs wnoszony do Wydziału powiatowego. Nie będą stawać domy o parę metrów bliżej lub dalej od ulicy — po polach, po ugorach — gdzie kto chce. — Bez planu regulacyjnego nie da się nic zrobić. Z niem wytyczą się nowe ulice, powstaną żądania takich a nie innych budowli — takich domów, które będą upiększać a nie zohydzać ogólny wygląd miejscowości.

Musi się dalej rozpocząć szereg prac inwestycyjnych — a rozpocząwszy, nie ustawać w robocie, ala prowadzić ją do końca.

Po wielkich ankietach, obradach, jako bezwzględną konieczność postanowiono budowę łazienek.

Kupiono grunt, zwieziono cegłę, zgaszono wapno, wykonano plany, przemęczono się nad niemi całe długie godziny, obradzono do ostatnich szczegółów i wyznaczono termin budowy z wiosną roku bieżącego, ale — nic z tego dotychczas.

To samo jota w jotę dzieje się ze szpitalem powszechnym. Zrobiono plany, zwieziono cegłę, drzewo — zaczęto murować fundamenta i zaniechano. Terez z każdym dniem znika cegła i drzewo, — zabiera je nocami kto może i gdzie może.

Wodociągi, ta chluba Zakopanego zaopatrują tylko samo centrum uzdrowiska, przysiołki — nie mają wody z gór, używają wód zaskórnych, strumyków, studzień o wodzie nadnoszonej ze zlewisk, na których leży uzdrowisko, — a jak to wpływa na zdrowotność mieszkańców, mówić nie potrzeba.

Sieć wodociągowa musi być rozszerzona, picie wód zaskórnych musi być zniesione.

Środek Zakopanego ma wodę wyborną, ale gdzież są spływy? Gdzie idą wszystkie wody zużyte — z kuchen, z wychodków, z prania?

Kanalizacja to rzecz tak ważna, że nie powinno się ani chwili wahać, ale przystąpić do jej stworzenia. Mówi się: koszta miljonowe, to prawda, ale one muszą się znaleść.

Władza administracyjna, istotnie samorządna, prawdziwie obywatelska ma być tu na miejscu, z nią może wejdzie nareszcie ład i porządek, może pójdzie naprzód sprawnie tok robót, które dziś pleśnieją i idą na marne. *Z. J.*

Wystawa pośmiertna prac Jana Małachowskiego

w Warszawie.

Szkice, studja, fantazje, portrety, kompozycje. Widać, że jesteśmy świadkami tej chwili w rozwoju artysty, kiedy z ucznia poczyna się twórca. Ale bywają rozmaite drogi rozwoju, u jednych idzie ta linja od początku prosto, u drugich łamie się, zatacza kręgi, zbacza.

W rozwoju Małachowskiego widzimy jasno wybraną ścieżkę, idzie prosto do celu — celu, który jest wytyczną w jego malarskiem uzdolnieniu, idzie ku barwie i światłu. Jego uzdolnienie kolorysty jest taką wyraźną dominantą, taką zdecydowaną potrzebą twórczą — że nawet tam, gdzie młody malarz załamuje się i trudno mu wybrnąć z zadania, jednakże omackiem niemal zdąża do opanowania przedmiotu: barwą i światłocieniem.

Uzdolnienie malarskie jest w dużym stopniu uwarunkowane kwalifikacjami fizycznemi, właściwości oka decydują często o kierunku artysty.

Widzimy to nawet u największych. Matejki przymioty i wady wzrokowe stworzyły jego nieporównany styl rysowniczy — coś podobnego zauważyć można i u innych. Oko mniej czułe na formę, a silnie reagujące na zmiany efektów świetlnych rozwija z czasem zmysł kolorystyczny u malarza. Ten wypadek zachodzi w twórczości Małachowskiego. Coraz wyraźniej akcentuje barwę swych motywów malarskich — od początkowo szarych tonów, branych jeszcze bez siły i waloru, przechodzi szybko do intensywności zastanawiającej. Motywy takie, jak w pracowni „Scena pod oknem", dają świadectwo tej tendencji.

Jeśli wybiera w naturze, to przechyla się do rzeczy mocno określonych i efektownych — jego martwe natury w liczbie kilkunastu najlepiej tego dowodzą.

Zagrożony chorobą piersiową, zmuszony był przebywać w Zakopanem — tam stał się widocznie zapalonym sportowcem — wyczuwa się to z prac ostatniego okresu: wszędzie studja do szlichtad, ski, saneczkowanie — to świat, jaki maluje — a maluje, bo go ma pod ręką, w garści.

Ale czasu nie traci . . . z jakąś niepokojącą ruchliwością, coraz to nowe rozpoczyna płótna, coraz nowe zadania, problemy. ale zawsze już: tylko kolor! A jaka pomysłowość malarska w wyszukiwaniu sobie odpowiednich motywów: znajduje je wszędzie, bierze to, co ma, żeby tak powiedzieć, pod ręką. Niczego nie pomija, gromada pędzli w słoiku malarskim, jakiś garnuszek obok — to taki sam przedmiot malarski, jak każdy inny. I ma słuszność.

Gzyms domu, widziany z pracowni, równie go zajmuje, jak człowiek, jak pejzaż, niebo, czy jakikolwiek motyw w naturze.

Ale to są przygotowania i ćwiczenia młodego talentu; są i chwile większych aspiracji, poza studjami widzimy kilkanaście skończonych pejzaży, między innemi w ciepło-fioletowych tonach nastrojowy widok, na pierwszym planie smrek, czy sosna, w dali doskonale wyczuta przestrzeń, to już jest twórczość.

Dalej parę portretów, robionych jako studja, — ale talent dalej zaprowadził malarza i ze studjum powstała podobizna o stałej wartości. No i wreszcie ten duży śnieg, oblany słońcem, tak kapitalnie pochwycony w liliowo-różowych tonach. — Jest to bardzo już posunięta praca i tylko jeszcze dwóch narciarzy wymaga opracowania.

Ale to jeszcze nie wszystko; był on, jak wszyscy z młodszego pokolenia artyści, poniekąd i dekoratorem, wyborny afisz świadczy to wy-

mownie, rzecz bardzo dobrze, trafnie skomponowana i ujęta.

Zdolność kolorysty, nie zabijała jednak dobrego zdawania sobie sprawy z kształtu każdego przedmiotu, cały szereg rysunków, widocznie wyjętych z bloków malarskich, pozwala w to wierzyć, że i formę byłby z czasem więcej zgłębił, bo kwalifikacji mu na to nie brakło. Słowem był to talent zdecydowany, ktoś, — co na malarza się urodził, był zupełnie w tym świecie swobodny i rozwijał się prawidłowo.

Gdyby nie straszna choroba płucna — sztuka nasza miałaby jednego tęgiego artystę więcej — ale nie było widocznie sądzonem mu dalej pracować na chwałę własną i radość tych wszystkich, którzy mieli go sposobność poznać i pokochać.

Władysław Wankie.

KRONIKA.

Rada gminna w Zakopanem na ostatniem swem posiedzeniu powzięła następujące uchwały:

Rada gminna w Zakopanem protestuje przeciw gwałtom, popełnianym na prowokowanej podstępnie ludności Górnego Śląska — składa hołd bohaterskim obrońcom tej ziemi, przeznaczając zarazem dla ofiar ucisku 5 tysięcy koron jako datek gminy, niezależnie od składek zorganizowanych przez miejscowe zrzeszenia. Wyraża ponadto niezłomne przekonanie, że armja polska mimo zastrzeżeń dyplomacji przez czynną interwencję nie pozwoli na dalsze gnębienie współrodaków i położy kres bezprawiom oraz, że Rząd z Sejmem nie dopuszczą pod żadnym warunkiem do okrojenia dzielnic, odwiecznie z Polską związanych a owszem uczynią wszystko, aby cały Śląsk, Ziemia Spisko-Orawska wraz z okręgiem Czaczańskim i t. zw. wschodnią Galicją, oblaną świeżo krwią żołnierza, kobiety i dziecka polskiego, weszły czemprędzej i niepodzielnie w skład Rzeczypospolitej.

Na pomoc dla Spisza i Orawy — p. Karol Rzepecki, prezydent policji w Poznaniu, przesłał za pośrednictwem krakowskiej filji Banku krajowego na ręce dra Józefa Diehla 1094 marki 80 fenigów.

Wiec w sprawie ochrony Tatr odbył się dnia 14 b. m. w Zakopanem w sali Dworca Tatrzańskiego. W zagajeniu p. Kazimierz Tetmajer podniósł niezwykle doniosłe znaczenie Tatr dla twórczości artystycenej polskiej i dla kształcenia duszy i serca młodzieży. Ubogie Podhale może i musi być uprzemysłowione, Tatry powinny zostać nietknięte.

Pierwszy referat wygłosił prezes Sekcyi Ochrony Tatr T. T., prof. dr J. G. Pawlikowski. Referent przedstawił motywy, dla których przyroda ma być chroniona; motywy te są różne: estetyczne, patrjotyczne, naukowe i zdrowotne. Ustawodawstwa zagraniczne często grzeszą jednostronnością; pruskie n. p. uwzględnia przeważnie cele naukowe, francuskie — względy estetyczne. Przyszłe ustawodawstwo polskie powinno być pod tym względem wzorowem. Specjalna ochrona należy się Tatrom, jedynym w całej Polsce wysokim górom. Grozi im z jednej strony źle zrozumiany interes ekonomiczny — uprzemysłowienie, z drugiej — filisterska turystyka, turystyka z mody, domagająca się w górach nadzwyczajnych wygód. Najlepszy sposób uchronić Tatry — zrobić z nich rezerwat przyrody, park narodowy.

Drugi referent, dr W. Kuźniar mówił o uprzemysłowieniu Podhala z uwzględnieniem ochrony Tatr i Pienin. Uprzemysłowienie należy rozpocząć od stóp gór, od torfów i marmurów na Podhalu i Orawie, od ulepszenia komunikacji, od doprowadzenia do porządku istniejących uzdrowisk i t. p. To wszystko wzbogaci Podhale i da ludności dobry zarobek, nie zaś uprzemysłowienie Tatr i Pienin. Przemysł może być dopuszczony w Tatry tylko wtedy, kiedy zachodzi absolutna konieczność. Referent przedstawia projekt ujęcia wód w Zachodnich Tatrach dla wodociągu krakowskiego.

W dyskusji brali udział p. p.: Sokołowski, Saysse-Tobiczyk, Starzyńska, dr Monat, Łomnicki i referenci. Jednogłośnie wiec uchwalił następującą rezolucję:

„Z uwagi, że nieodzowny i spodziewany rozwój przemysłu w państwie naszem z jednej strony, a wzmagający się z każdym rokiem ruch turystyczny z drugiej — wiodą za sobą niechybnie także rozbudzenie bezwzględnej, w celach łakomej i samolubnej, w środkach barbarzyńskiej spekulacji,

z uwagi, że ten stan rzeczy grozi poważnemi niebezpieczeństwami przyrodzie, a w szczególności pierwotnej i dzikiej przyrodzie górskiej,

z uwagi, że zachowanie piękności i cech swoistych krajobrazu, tudzież zachowanie poszczególnych tworów żywej i martwej przyrody, ma wysokie idealne, narodowe, społeczne moralne, naukowe i estetyczne, a także — jak w górach — materjalne znaczenie, gdyż zniszczenie uroku dziewiczej przyrody odstręczy od Tatr najlepszą, oświeconą turystykę, wiec zwraca się do Rządu Rzpltej z następującem usilnem przedstawieniem:

1. Rząd Rzpltej zechce w najkrótszym czasie wygotować i przedstawić Sejmowi do uchwały projekt ustawy o ochronie przyrody, która to ustawa winna opierać się na następujących zasadach naczelnych:

a) Pod względem zakresu — winna wziąć w opiekę piękność i cechy swoiste krajobrazu, w górach zaś wysokich także i jego charakter dziewiczy i dziki, na którym urok i piękność gór polega, a dalej poszczególne twory żywej i martwej przyrody bądźto ze względów krajobrazowych ważne, bądź mające znaczenie przyrodnicze, lub historyczno-naukowe, lub choćby tylko pamiątkowe.

b) Pod względem środków — winna ustawa dążyć do ochrony przyrody przez zorganizowanie propagandy i pouczanie ogółu oraz wydatne uwzględnianie nauki i zamiłowania swojszczyzny w szkołach — przez nakłanianie i osiąganie dobrowolnej zgody właścicieli gruntów czyto osób prywatnych czy gmin, celem zachowania i chronienia poszczególnych miejsc i przedmiotów, przez ustanawianie w razie potrzeby służebności prawno-publicznej na gruntach chronionych za wynagrodzeniem właścicielowi strat materjalnych z ograniczenia użytkowania wynikających, przez wykupno przymusowe gruntów chronić się mających, celem utworzenia rezerwatów.

c) Pod względem organizacji — ustawa winna oprzeć się na zasadzie decentralizacji i samorządności organów przy zjednoczeniu i ujednostajnieniu kierownictwa i kontroli ich działania przez sprężysty, świadomy celu, wszechstronnie ukwalifikowany i zaopatrzony w potrzebne środki i kompetencje prawne organ centralny. Obok tego organu winna by istnieć stała komisja międzyministerjalna celem normowania i zabezpieczenia interesu ochrony przyrody w poszczególnych gałęziach administracji państwowej.

2. Rząd Rzpltej zechce jaknajprędzej zastanowić się nad sprawą utworzenia z Tatr i Pienin rezerwatu państwowego".

B. W.

Podhalański Oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego zawiązał się w Zakopanem na organizacyjnem zebraniu, odbytem 9 b. m. w sali Tow. Tatrzańskiego pod przewodnictwem p. K. Tetmajera. Poza gromadzeniem materjałów krajoznawczych i szerzeniem wiadomości, dotyczących krajoznawstwa polskiego, Podhalański Oddział P. T. K., za jeden z głównych celów swoich uważa założenie i prowadzenie w Zakopanem „Domu wycieczkowego dla młodzieży szkolnej".

W skład zarządu Oddziału weszli: p. Mieczysław Sędzimir, prezes, dr Gustaw Nowotny, zastępca prezesa, dr Wacław Kraszewski, skarbnik, p. Borys Wigilew, sekretarz i p. Władysław Kostka, członek Zarządu. W myśl uchwalonego statutu, który przewiduje tworzenie się w Oddziale specjalnych Sekcji i Komisji, Zarząd powołał do życia Sekcję Domu wycieczkowego, zadaniem której jest zrealizowanie projektu tego domu.

Wymieniona sekcja odbyła pierwsze zebranie i wyłoniła swój zarząd. Prezesem zarządu Sekcji Domu wycieczkowego wybrany został p. Stefan Żeromski, jego zastępcami p. p. Ksawery Prauss i Mieczysław Sędzimir, sekretarzem p. B. Wigilew i skarbnikiem dr. W. Kraszewski. Zarząd rozpoczął swoją działalność wydaniem odezwy do społeczeństwa i przygotowaniem memorjałów do Ministerstw Oświecenia Publicznego i Zdrowia Publicznego.

Szczególne zainteresowanie „Dom wycieczkowy wzbudził u p. Ministra Zdrowia, dra T. Janiszewskiego. W liście z d. 12 b. m. do Zarządu Podhal. Oddziału P. T. K., p. minister, wytłumaczywszy swoją nieobecność na organizacyjnem zebraniu, pisze: „Sprawą urządzenia w Zakopanem Domu wycieczkowego dla młodzieży szkolnej uważam za nader ważną i gorąco popierać ją pragnę; dlatego też uprzejmie proszę o łaskawe porozumienie się ze mną co do kupna odpowiedniego budynku na ten cel przeznaczonego".

Mamy nadzieję, że sprawa ta spotka zrozumienie i poparcie zarówno u czynników mjarodajnych i rządu, jak i w społeczeństwie. Szczególnie szkoły powinny przyjść Oddziałowi z pomocą, przystępując n. p. na członków założycieli Domu wycieczkowego z wkładką 100 koron. Wkładki przyjmuje skarbnik zarządu dr Wacław Kraszewski.

B. W.

Ś. p. Jan Małachowski. Przed dwoma laty, dnia 1 października r. 1917 zmarł w Zakopanem w Sanatorjum dra Dłuskiego Jan Małachowski, artysta-malarz, przeżywszy lat 31. Urodzony we wsi Sycze w ziemi Grodzieńskiej d. 5 kwietnia r. 1886, uczył się najpierw w domu, potem w gimnazjum rządowem w Radomiu, następnie uczęszczał do szkoły technicznej w Łodzi. W roku 1905 wstępuje do Szkoły sztuk pięknych w Warszawie, gdzie pracuje półtora roku. Stąd przenosi się do Akademji krakowskiej i zostaje uczniem Weissa, Fałata, Wyczółkowskiego i Axentowicza. Otrzymał w tym czasie trzy pierwsze nagrody konkursowe — jedną pierwszą doroczną i duży srebrny medal.

W r. 1907 wyjechał w Tatry na studja i to było dlań objawieniem. Odtąd ponad wszystko Tatry ukochał, odtąd najchętniej też maluje górski krajobraz, innych tematów chwytając się tylko z konieczności, gdy góry daleko a inne bliższe rzeczy zasłaniają czasem ich wspomnienie. Z zapałem zaczyna chodzić w góry, mieszkając głównie w Zakopanem, staje się zawołanym taternikiem i narciarzem. Przez dłuższy czas był członkiem Pogotowia Ratunkowego Tatrzańskiego. Pokonywanie trudnych przejść w górach, uciążliwe wyprawy ratunkowe, noce spędzane w gronie towarzyszów przy ognisku z wonnej kosówki, lub w zadymionym szałasie, w jedynym na świecie nastroju, pozostawiły we wrażliwej jego duszy niczem niezatarte wspomnienia. Do Tatr zawsze powracał czy to ze słonecznej Korsyki, dokąd pojechał się leczyć w roku 1912, czy z Warszawy, gdzie dobra malarska pracownia zdołała go aż dwa lata zatrzymać.

W styczniu 1916 r. wraca w Tatry, by już nie odjechać. Mniej teraz maluje, zajęty pracą nad udoskonaleniem trójbarwnej fotografji. Pracę tę, prawie ukończoną śmierć przerwała. W ciągu tych ostatnich dwu lat zrobił około tysiąca prześlicznych zdjęć fotograficznych krajobrazu tatrzańskiego — znanych pewnie każdemu, kto bywał w Zakopanem.

Wystawa, urządzona obecnie w Towarzystwie Zachęty do sztuk pięknych w Warszawie, o której zamieszczamy wyżej osobne sprawozdanie, zawiera około połowy prac jego. Reszta rozsiana bądź w Rosji, bądź w Niemczech. Część znajduje się w Krakowie.

Obdarzony prawdziwym talentem, pracownik niezmordowany, człowiek z temperamentem żywiołu, miał dużo samokrytycyzmu, co nie pozwalało mu wystawiać prac swych prócz niewielu tylko.

Cześć jego pamięci!

Zniszczenie cennych zbiorów. Śp. Baltazar Szopiński, Nowotarżanin rodem, urzędnik sądowy, posiadał bogatą bibljotekę odnoszącą się do Tatr i Podhala, a w niej prawdziwe unikaty z XVIII w., oraz zbiór okazów etnograficznych. Zamiłowany zbieracz i autor artykułów z historji Podhala, umieszczonych w *„Tygodniku Ilustrowanym"*, *„Pamiętniku Tatrzańskim"* i t. d., zobowiązał się zapisać wszystkie archiwalja, rękopisy, książki i t. d. bibljotece gimnazjum nowotarskiego; skoro jednak umarł bez testamentu a ówczesnemu dyrektorowi przypomniano konieczność wydobycia zapisu dla gimnazjum, okazało się, że list zawierający zobowiązanie zginął przez niedbalstwo. Wobec tego zbiory wraz z całym spadkiem miały przypaść licznym krewnym, przeważnie nowotarskim mieszczanom.

Zajęła się tą sprawą Rada gminna Nowego Targu i postanowiła odkupić cenny nabytek, cóż kiedy postępowanie spadkowe wlokło się, raz z powodu pobytu paru spadkobierców w Ameryce, a co gorsze, z powodu uporu nowotarskich krewniaków nieboszczyka, którym ówczesne oszacowanie na 600 „papierków" i nadzieja otrzymania szafy bibljotecznej wprost zawróciła w głowie. Nawiasem mówiąc, było to oszacowanie dość niskie; możliwe, że taksator „starzyzny" książkowej nie zdawał sobie sprawy z tego, iż były wśród niej liczne rzadkości, jak dzieła Fröhlicha, Genersicha, Buchholzów, Staszica, drzeworyty i ryciny, zbiór starych map i t. d. Cały

materjał był w Kałuszu i tam go zaskoczyła wojna, przemarsz wszelakich wojsk, kadryl rosyjsko-austryjacki, wreszcie ukraińska zawierucha.

Zaniepokojona ich losem Sekcja Ludoznawcza T. T. zwróciła się do masy spadkowej, kuratora, dra S. Wiesenberga w Kałuszu i dzięki jego uprzejmości otrzymała smutną informację o zupełnem zniszczeniu kulturalnej spuścizny. Dr Wiesenberg uwiadomił zarazem, że bez skutku czynił poszukiwania, czy jakieś resztki nie znajdują się w prywatnych rękach.

Sekcja otrzymała drugą taką samą wiadomość z Lubienia Wielkiego pod Lwowem. Niezmiernie bogaty zbiór wycinków z gazet, broszur, druków, odezw i t. d. oraz wykaz literatury, gromadzony od kilkunastu lat p. A. Teodowicza, b. dyrektora zakładu zdrojowego w Szczawnicy a obecnie w Lubieniu, odnoszący się do Tatr, Pienin, Podhala i jego uzdrowizk, — padł ofiarą ukraińskiego wandalizmu.

J. Zb..

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ.

Z podróży do Tropików.

2)

Nawprost debarkaderu mały placyk z pomnikiem królowej Wiktorji otoczony potwornymi, czerwono-pomarańczowymi domami w stylu indyjsko-bungalowowo-tropikalno-magazynowo-stacyjnym.

Uwija się mnóstwo „rikszów", t. j. syngalezów ciągnących małe, jednoosobowe powoziki na dwóch kołach. Przejeżdżają ekwipaże z lokajami i woźnicami w czerwonych, lub białych turbanach. Uboższa ludność jeździ małemi, dwukolnemi bryczkami, zaprzęgniętemi w garbate, małe woły, które robią wrażenie przedwcześnie dojrzałych, zdegenerowanych cieląt.

Na drugiej stronie przylądka, przy którym leży port, rozciąga się wielka plaża, odgrodzona murem bez poręczy od drogi biegnącej wzdłuż morza. Żółto zabarwione, wzburzone przez Monsoon morze rozbija się z ponurym sykiem na czerwonym piasku.

Dalej, ciągną się nadbrzeżne lasy palmowe, srebrzysto-zielonkawe, o sylwecie rozwianej, pierzastej, zatopione w oparze rozpylonej piany morskiej.

W cieniu małej budki siedzi potworna postać, o łagodnych oczach i twarzy pokrytej wysypką: syngalez studjujący swoją własną religję w angielskim przekładzie.

Dalszy ciąg nieprzyjemnego snu przedłuża się. Więc to jest ów wymarzony tropik?

Rozczarowanie to jest oczywiście nierozsądne, ale po oczekiwaniu jakichś niepojętych cudów, pierwsze wrażenia stoją z wyobraźnią w rażącej sprzeczności.

Bierzemy „rikszów" w celu zwiedzenia odległego parku Victoria. Z początku używanie człowieka jako zwierzęcia pociągowego sprawia pewną przykrość. Ale „rikszowie" z taką lekkością wymachują cienkiemi, bronzowemi łydkami i z taką nonszalancją ciągną swoje bidki, wyrzucając przytem ramiona w górę, że po chwili uważa się to za rzecz całkiem naturalną.

Jedziemy rozległemi ulicami, wśród szeroko rozrzuconych domków, ukrytych w laskach palm i gąszczu kwiecistych krzewów. Każdy ogród otoczony niewielkim murem, pokrytym przeważnie różnokolorowemi pleśniami.

Spotykamy muzułmański pogrzeb. Trumna pokryta kolorowemi szmatami, uczestnicy w szatach jaskrawych, wszystkich możliwych kolorów. Na czele idzie poszkodowany z twarzą wykrzywioną bólem. Wszyscy zawodzą, jęczącymi głosami, jakąś ciągnącą się pieśń bez początku i końca.

Słońce rozżarzone oślepia; wszędzie unoszą się stada kruków zapamiętale kraczących. Nie tępią ich tu, zdaje się, z powodu ich działalności publicznej, jako zbieraczy odpadków i śmieci.

W Parku Victoria następuje pierwsze zetknięcie się z prawdziwą tropikalną roślinnością. Wrażenie wprost straszne. Ten nadmiar życia, rozwydrzenie form i kolorów działa przygnębiająco. Jest w tem jakiś dziki bezsens, zbytek i rozrzutność, niepokojąca siła i namiętność, granicząca z szałem. Doznaje się poczucia własnej słabości i jakby niedołęztwa w jakiś dziwnie nieprzyjemny sposób. Potęguje to wrażenie obezwładniający upał i wilgotna duszność: powietrze mokre i rozpalone szczypie w nos przy oddychaniu, jak para w łaźni rzymskiej.

Słońce, które u nas rzadko się ukazując i łagodnie grzejąc, zdaje się dobroczynnem bóstwem, tu zmienia się w straszliwego, morderczego potwora, który czyha na zgubę swoich ofiar z północy.

Oślepiający blask trawy, przypomina blask kwietniowego śniegu u nas, podczas gdy cienie, czarne jak bezdenne otchłanie, zieją straszliwym upałem. Ogólne wrażenie jasnego, tropikalnego dnia jest ponure i groźne. Zdaje się, że to jakiś męczący gorączkowy koszmar, w którym wszystko staje się olbrzymie, piękne w swej potworności i złowrogie i przytłacza nieszczęsnego, chorego człowieka. Ciemno zielone krzewy pokryte ogromnymi, purpurowymi kwiatami z długimi, żółto-pomarańczowymi pylnikami; drzewa olbrzymie o pniach białych, jakby obszytych zamszem; inne oplecione ljanami o szerokich łopatkowatych liściach; kępy potężnych, kilkunastometrowych bambusów, dziwnie trzaskających i skrzeczących, przez ocieranie się pni za podmuchem wiatru.

Monsoon dmie z siłą może 8—9 m. na sekundę, ale robi to wrażenie, że z olbrzymiego pieca dmą jakieś potworne miechy. Żar od rozpalonej ziemi pali od dołu, jak od rozżarzonej blachy. Pędy młodych bambusów, grube jak telegraficzne słupy, wydzierają się z ziemi z jakiemś złowrogiem zapamiętaniem; pokryte przylegającymi liśćmi jak łuską; każdy liść zakończony kolcem i porysowany małymi włoskami w dziwne desenie, stanowi oddzielną dekoracyjną kompozycję, w kolorach od fioletu, aż do żółto-zielonej ochry.

Każde źdźbło, każda trawka inna, niż u nas. Trawa składa się z białawo-zielonych, wycinanych w ząbki listków. Unoszą się motyle ogromne, jak ptaszki, przeważnie w czarno-granatowych kolorach z seledynowymi deseniami. Latają duże jak pudełka zapałek żuki o złoto-zielonych pokrywach, które łapią mali syngalezi i sprzedają jako talizmany.

Wracając zwiedzamy małą, niezbyt starą świątynię budyjską. Oprowadza nas kapłan z ogoloną głową, ubrany w żółtą, wypłowiałą szatę.

W głębi świątyni leży kilko-metrowy Budha, wylakierowany na żółto, o ustach purpurowych i głupkowato-zamyślonym, zmysłowym wyrazie twarzy. Wejścia bronią wypukło rzeźbione lwy, stojące na dwóch łapach, z podniesionymi ogonami, a oczy ich ze szklannych gałek świecą jakby fosforycznie.

Freski nie prymitywne, ale niedbale rysowane, w kolorach jaskrawych i nieharmonijnych, przetrząśnięte ogólno-europejskim, tandetnym stylem.

W dzielnicach krajowców małe domki, przeważnie parterowe, stoją gęsto. Na pozór robi to wrażenie małego, żydowskiego miasteczka. Tylko ludzie jak z jakiegoś potwornego snu. Kobiet bardzo mało na ulicach. Czasem przewinie się jakaś twarz młoda i ładna, trochę w typie naszych dziewcząt z Podola. Ale mężczyźni wprost okropni. Starcy o białkach ócz żółtych lub szafranowych, o twarzach, pełnych okrucieństwa i zbrodniczych chęci. Być może, że są to najlepsi ludzie, ale odrębność rysów i koloru działa na fantazję w ten sposób, że psychikę ich wyobrażać sobie trzeba, na podstawie tych danych, w szczególnie okropny sposób.

Dziwne i nieznane działa zawsze z współczynnikiem grozy; cóż dopiero dziwność potworna. Młodzi ludzie o wyrazach chytrych lub smutnych, ale nawet w smutku wstrętnych. Coś nieszczerego, psio-uległego i podstępnego jest we wszystkich twarzach. Rzadko widzi się twarz poczciwą, albo szczerze wesołą, rzadko też wyraz siły i zawziętości. Na ogół wrażenie ponure i męczące.

Uczesania najróżnorodniejsze. Kapłani ubrani w długie, żółte szaty z jednej sztuki, noszą głowy golone zupełnie. Mężczyźni cywilni mają wszystkie możliwe stopnie uwłosienia głowy. Przeważnie noszą długie włosy, albo rozpuszczone, co przy brodzie i wąsach wygląda obrzydliwie, albo zawiązane w węzeł z tyłu głowy. We włosy zaś mają wpięty okrągły, żółty grzebień, którego ostro zakończone końce sterczą z przodu i w słońcu robią wrażenie płomykowatych rożków. Niektórzy ogoleni zupełnie zachowują w środku głowy mały „osełedec"; inni mają zwykłe, tylko z murzyńska kędzierzawe czupryny. Przeważnie tylko starcy chodzą w turbanach. Większa część mężczyzn ma głowy gołe i podziwiać trzeba tych, co ogoleni chodzą bez nakrycia w upale, który w parę minut zabija europejczyka, mającego odwagę zdjąć korkowy hełm z głowy.

Niektórzy do połowy nadzy, inni w kolorowych, przewieszonych przez plecy szalach; wszyscy prawie w kolorowych spódniczkach. Barwy ubrań najróżniejsze: od niebieskich do pomarańczowych, od purpurowych do zielono-szmaragdowych.

Żółty kolor, zarezerwowany wyłącznie dla bonzów, spotyka się dość rzadko. Niektóre kobiety noszą szaty granatowe, obramowane szerokim, żółtym szlakiem. Mężczyźni mają ruchy tak miękkie i kobiece, że wskutek braku wielkich różnic w uczesaniu trudno ich czasem od kobiet odróżnić. Bardziej dystyngowane damy noszą krótkie, białe staniczki, obszyte koronkami, z dużym dekoltem i krótkimi rękawami.

Żebracy leżą przeważnie na rogach ulic, przykryci z głowami szaremi płachtami, wystawiając jedynie z pod nich drapieżne, chude, czarne łapy z dzbankami lub miseczkami na pieniądze i wydając z pod płacht stłumione ryki i jęki.

Na tle bezustannego krakania niezliczonych kruków i gwaru rozmów słychać dzwonki „rikszów" i niecierpliwe, jakby pełne oburzenia nawoływania woźniców na woły, ciągnące powoli bidy, pokryte półokrągłymi, plecionymi z liści palmowych budami. Aa! Aa! rozlega się wszędzie i zdaje się co chwila, jakby gdzieś komuś ząb z nienacka wyrwano.

Główna ulica wychodzi nad rzekę Kelami, może jakie 200 kroków szeroką. Mętne, buro-żółte wody, jak wszędzie zresztą na Ceylonie, zdają się nie płynąć wcale i odbijają w leniwych wirach olbrzymi, różowy od zachodzącego słońca obłok.

Na drugim brzegu las palmowy i ukryte w nim domki, w których zaczynają się ukazywać zaraz po zachodzie świała w oknach. Wązka, tuż nad horyzontem trzymająca się zorza, trwa minutę lub dwie zaledwie i mrok zapada szybko i znienacka, zdając się jeszcze czarniejszym wobec tylko co znikłego, rażącego blasku dnia. Przeprawiamy się na drugi brzeg promem, pełnym syngalezów, koszów z owocami i innych towarów.

Droga idzie wśród palm wysokich, potrząsających pióropuszami w powiewie wieczornym. Blizko brzegu kąpie się w błotnistej wodzie mnóstwo ludzi. Dziwnie wyglądają ich czarne, chude sylwety, na tle szybko gasnącego, wieczornego nieba. Pokazują się pierwsze gwiazdy: *a* i *b* Ceniauri, które z nad miarę osławionym Krzyżem Południowym stanowią jedyną ozdobę południowego nieba w tej porze roku, o wczesnych godzinach. Dużo później dopiero wstaje olbrzymi Canopus, największa gwiazda po Syryuszu na obu półkulach. Wielki Wóz, wywrócony tuż nad horyzontem, wskazuje na niewidzialną we mgle Gwiazdę Polarną. Pas równikowy z Arktusem, Spicą i Antaresem przesuwa się przez sam zenit.

(C. d. n.).

Czcionkami drukarni „Polonia" Jana Trybuły w Zakopanem.